

Krzysztof Pawłowski



ZAMIR, PORUCZNIK KOZACKI

VOL.1

ZAMIR, PORUCZNIK KOZACKI



TEKST PIERWSZY:

ALKOHOL JEST DLA MĄDRYCH LUDZI, A NIE DLA...

Autor: Krzysztof „Vitalius” Pawłowski

Projekt i wykonanie okładka: Adrian „KAMAEŁ” Sażański

Namiot dowódcy IV taboru kozaków Wideńskich stał na samym krańcu obozu, od południa. Był dwa razy większy od przeciętnego wozu braci. Jego wyblakłe i grube płótno czaszy, mimo tylu lat w drodze nadal dawało pełną ochronę przed wiatrami, deszczem czy śniegiem. Na czubku, na głównym maszcie osadzony był sporej wielkości mosiężny sokół z rozpiętymi skrzydłami. Jego wzrok spoglądał zawsze w kierunku zachodnim, tam gdzie leżała główna sicz kozacka.

Sam tabor rozstawiony był na wielkiej polanie, ukrytej między drzewami starego lasu. Składał się z kilkunastu wozów mieszkalnych, kilkunastu małych namiotów najemników i jednego wozu więziennego. Pod komendą porucznika kozackiego znajdowało się pięćdziesięciu braci, mężczyzn którzy przynależeli do taboru poprzez złożenie przysięgi, a dzięki temu posiadali realny głos w czasie zebrania „koła”. Do tego dochodziła stała grupa dwudziestu najemników, których głównym celem było dołączenie do grona „braci”. Ostatnim wyróżniającym się wozem, nie wspomnianym w wcześniejszej wyliczance był pomalowanym we wszystkie znane kolory tęczy, wóz szeptuchy. Ustawiony zawsze w pobliżu centrum taboru.

**

Długi jeździecki but, podkuty stałą na piętach kołysał się z prawej do lewej, leżąc na sporej wielkości drewnianym stole. Jego właściciel, porucznik kozacki Zamir, czytał właśnie list od jednego z klientów. Stała w nim sprawa prośby o porwanie pewnej niewiasty. Jednak to nie wywołało takiego zdziwienia na ustach ukrytych pod długimi jak dwie żmije wąsami, co fakt, że zleceniodawcą był ojciec przyszłej niedoszłej porwanej.

- Niesamowite!

Mruknął wyraźnym i niskim głosem czarnowłosa mężczyzna, o wilczych oczach i sokolich rysach twarzy. Ubrany był w koszulę o szerokich mankietach w kolorze świeżej krwi, obszytą złotymi guzikami. Spodnie były z luźnego brązowego materiału. Po prawej stronie spała, oparta o poręcz krzesła, szabla kawaleryjska. Surowa i bez zdobień, idealna do walki i wierna swemu panu.

Wtem do namiotu wkroczył wyraźnie obruszony obozowy kucharz. Był to wielki, ponad dwu metrowy mężczyzna o sporej masie ciała lecz z łagodnym wyrazem twarzy. Brat Yalin, bo tak się zwał, bez ceregieli począł mówić, uprzednio jednak lekko skinąwszy głową na powitanie dowódcy. Dla jasności! Do namiotu, bez pytania o pozwolenie dwóch strażników-najemników, mogli wejść tylko on oraz prawa ręka brata-dowódcy, brat Lorcan. Jednak wracając do historii...

- Bracie dowódco! Tak nie można! Tak się nie da żyć! Coś trzeba z nim zrobić!

Oczy porucznika kozackiego podniosły się znad listu bardzo powoli, lecz ten gest był jaśniejszy niż zdanie „Tak? Mówże prędko! Nie widzisz, że czytam? Co się stało?”. Dlatego Yalin kontynuował.

- Bandyta! Znowu ta cholera wypła cały antałek przedniego wina! Nie mam pojęcia jak on to robi! Przecież po ostatni raz zamknąłem nawet drzwi od magazynku na klucz! Cholera! Same antałki położyłem tak wysoko na drewnianych skrzyniach, że niemożliwością byłoby aby kradł tylko on sam!

- Dobrze. To może zaczniemy od początku. Skąd wiesz, że to on?

Kucharz, aż parsknął głośno, odpowiadając z nieukrywaną złością.

- Skąd wiem? Ano leży urznięty prawie w trupa w stajni. Biadoli coś o niedoli i ciężkim życiu. Że codziennie musi na swoich garbach nosić cały ten pieprzony świat i inne tego typu bzdury.

- Ktoś jeszcze o tym wie?

- W stajni byli już chyba wszyscy z obozu! Nawet nasze „koleżanki”!

Tutaj trzeba wyjaśnić owy termin „koleżanek”. Otóż są to kobiety braci, nie będące ich żonami. Najemnicy nie mają prawa posiadać takich znajomych w obozie. Dla dokładniejszego nakreślenia sytuacji, bracia kozacy nie posiadają żon, aż do momentu zwolnienia ze służby dla siczy, a tym samym dla taboru. Oczywiście „koleżanki” są w taborze na zasadzie dobrowolności i w każdej chwili mogą odejść. Wracając jednak do rozmowy, porucznik kozacki odpowiedział już bardziej przejętym głosem.

- To nie dobrze. Skoro tak sprawa wygląda, to prowadź do tego moczymordy!

- Z całym szacunkiem bracie dowódco! To już nie są te małe wybryki co kiedyś! To jest kradzież mienia taboru o dużej wartości!

- Dobrze, już dobrze. Rozumiem. Idziemy.

Obozowa stajnia liczyła miejsc dla koni w ilości kilkunastu wnęk, zbudowanych z okolicznych drzew. Wszystko na prostej zasadzie. W razie gdy trzeba będzie się szybko związać, nie będzie szkoda ich porzucić. Każda wnęka mogła zmieścić w sobie do trzech, czterech koni. Jednak była jedna taka, znacznie większa niż reszta. Po skrajnej prawej stronie. Tam też, dłuższą chwilę po rozmowie, znaleźli się dowódca kozaków oraz obozowy kucharz. Oprócz nich oczywiście na miejscu byli już inni bracia i najemnicy, gdyż wszystkie „koleżanki” poszły nad rzekę, aby tam spędzić resztę ciepłego dnia.

Porucznik kozacki przedarł się nieśpiesznie przez tłum ludzi, których epitety wypowiedane były co najmniej nieprzychylnie dla prawdopodobnego złodzieja antałka. W końcu stanął nad przestępcą i usłyszał jak ten charczy i parska, mówiąc coś podobnego do słów „niezastąpiony” lub „zarobiony”.

Chwilę później, gdy usłyszał już tyle, że więcej nie potrzebował, podniósł ręce do góry dla skupienia uwagi obecnych i przemówił do zebranych, głosem stanowczym i nie akceptującym sprzeciwu.

- Dobrze! Rozumiem wasz słuszny gniew i zażenowanie! Wiem doskonale tak jak wy, że Bandyta zasłużył na karę i na bogów! Zrobię wszystko, aby dotkliwie poczuł to jak bardzo zrobił źle!

- A antałek? Co z antałkiem?

Krzyknął ktoś z tłumu, a jeszcze inny głos mu zawtórował.

- Kto za niego zapłaci? Kiedy dostaniemy nowy?

Zamir uśmiechnął się szeroko, rozciągając jeszcze bardziej i tak długie wąsy.

- Jeszcze dzisiaj w magazynie pojawią się dwa takie antałki, bracia!

- A kto je kupi?

Znów padł głos po którym tłum zareagował jeszcze bardziej emocjonalnie dla zadanego pytania, podbijając go między sobą.

- Ja! Ja je kupię!

- A za czyje złoto?

Padło kolejne pytanie, jednak Zamir nie zdołał dojrzeć odważnego. Nie miał wyjścia, musiał znów złożyć obietnicę.

- Bracia! Ja je kupię! Za własne monety!

Jaka ulga przeszła wśród zebranych! Jakby kto im obiecał darmowe jedzenie przez najbliższy tydzień. Dlatego porucznik kozacki szybko wykorzystał dobry nastrój tłumu i zakrzyknął wesoło.

- Także rozejdźcie się już do swych wozów i zajęć! Ja się wszystkim zajmę!

- No tak! Bo to przecież Twój ogier, dowódco!

Znów padł głos z tłumu. Jednak przekłute słońce na tyle oślepiło porucznika kozackiego, że ten nie był w stanie dojrzeć tego żartownisia! Bo gdyby zobaczył, kto taki odważny! Oj! Od jutra miałby naprawdę przesrane, a raczej zasrane życie na najbliższy tydzień. Przecież latryny same się nie wyczyszczą. Jednak prawda była taka, że faktycznie Bandyta był jego ogierem bojowym. Czarnym rumakiem o lekko ponad dwu i półmetrowej wysokości oraz masie ciała tak dużej, że sam potrafił wbić się podczas szarży w każdy tłum. Nie ważne jak duży. Wbić się i przebiec niczym czarna zjawa czy demon. No i pozostawała jeszcze

jedna kwestia. Bandyta potrafił mówić i myśleć. Zamir musiał szybko zareagować na te zdanie, więc odpowiedział, z teatralnym uśmiechem od ucha do ucha.

- Dlatego powiedziałem, że się tym zajmę! A teraz idźcie już! No! Ruchy!

Tłum rozszedł się powoli, szepcząc o obietnicy dodatkowego antałka, a po kilkudziesięciu uderzeniach serca we wnęce stał już tylko dowódca oraz kucharz.

- Co teraz?

Odezwał się w końcu ten drugi.

- Jak to, co? Wyślij kogo do Mazali, niech ta zrobi napar trzeźwiący.

- A jak dużo?

Kozak spojrzał na Yalina i z wrednym uśmiechem rzekł.

- Końską dawkę bracie! Końską dawkę!

**

- Szefie! Ja już nie będę! Przysięgam!

Bandyta jechał grzecznie leśną ścieżką i smętnie truł dupę swojemu panu od momentu gdy wyjechali we dwójkę z obozu. Ten jednak nic nie mówił. Powiedzieć, że był wkurzony to tak jakby nic nie powiedzieć. Zresztą to nie był pierwszy raz, gdy Bandyta ukradł czyjś alkohol i napruł się sromotnie. Jednak do tej pory przechodziło to bez większego echa. Szczęście i złote usta Zamira.

Niestety tym razem przesadził. Cały antałek wina?! Kozacza brać była bardzo mocno uczulona na kradzież takich ilości ze wspólnego magazynu. Dlatego tym razem trzeba było ukarać niesfornego rumaka. Dowódca kozaków miał plan, bo doskonale wiedział, co może utemperować i zdyscyplinować tego alkoholika.

Byli już w połowie drogi do pobliskiego miasteczka gdy jęki rozpacz, bóleści oraz żale Bandyty przerwało trzech mężczyzn, wyskakując zza drzew, z obnażonymi mieczami. Jeden z nich od razu zakrzyknął:

- Złoto, broń i konia!

Zamir podniósł głowę, a spod czarnej jak noc grzywy spojrzął jego wilcze, niebieskie oczy. Sekundę później, bardzo powoli, pod jego wąsami ukazał się przerażający uśmiech. Bandyta umilkł. Nie lubił gadać poza obozem. No chyba, że był napruty. Ten sam rabuś, nie słysząc żadnego odzewu, ani realnego i fizycznego działania napadniętego, znów krzyknął, a jego dwaj kompani po obu stronach drogi, poczęli robić groźne miny i machać mieczami.

- Głuchy jesteś czy głupi? Nie słyszałeś? Dawaj złoto, swoją broń i konia! Ale cholera na szybkości!

- Słyszałem, słyszałem.

- To dawaj!

Odezwał się jeden z dwóch, co do tej pory nie mówili. Byli ubrani jak leśni koczownicy, w skórzane pancerze oraz brudne elementy długich i grubych ciuchów.

- Dam wszystko, tylko nie konia.

Na to parsknął wesoło Bandyta, jednak porucznik kozacki ostrogami utemperował jego radość.

- To konia tym bardziej! Inaczej życie stracisz szybko, a życie chyba więcej warte niż koń?

- Nie dam wam, bo nie chcę aby coś się wam stało.

- Co? Co on gada?

Odezwał się ten na środku drogi, rzucając szybkie spojrzenia po swoich kompanach. Na to jeden z nich odpowiedział trochę jękając.

- Pppowiedział, że...

- Wiem durniu co powiedział! Dobra! Nieważne! Koniec gadki! Dawaj wszystko co masz i konia, albo zaraz pójdiesz na piechotę w zaświaty!

Zamir nawet nie drgnął w siodle tylko spokojnie i powoli odpowiedział.

- Nie dam wam konia, mówię!

Środkowy rabuś jakby na chwilę zgłupiał, bo zapytał się zbity z tropu.

- Dobra! To powiedz dlaczego nie konia?

- Bo gdy tylko przyprowadzicie go do swego obozu i pośniecie to wyżre wasze całe jedzenie, wypije cały alkohol, a na koniec odgryzie wam jaja.

Głos Zamira był jednolity, stabilny i bez emocji. Jakby faktycznie opowiadał coś co mogłoby mieć miejsce. Bandyta stał i słuchał, jednak na wzmiankę o odgryzaniu jaj, poruszył niespokojnie brwiami. Przywódca rabusiów jęknął jakby już całkowicie zidiociał, na co kozak dodał.

- Ten koń jest opętany. Prawda Bandyto?

Czarny ogier milczał, bo nie wiedział co dokładnie ma zrobić, jednak kiedy znów odezwał się jego pan.

- PRAWDA?

Bandyta parsknął i odpowiedział.

- Prawda! Zeżrę wasze jaja!

Rabusie z przerażeniem w oczach spojrzeli po sobie, a ostrza ich lekko stępionych mieczy opadły na wysokość kolan. Kozak wyчуł, że blef trafił idealnie i trzeba było kontynuować, aby ci durnie mogli pożyczyć sobie jeszcze kilka kolejnych dni, aż do następnego rabunku. Dlatego dodał wyraźnie i z lekko podniesionym głosem, szczerząc swoje zęby.

- A skoro koń jest opętany to jego jeździec jest...

To zdanie musiało zrobić gigantyczne wrażenie na niedoszłych denatach, bo automatycznie jeden z nich, ten co się nie jękał ale ogólnie mało mówił, stwierdził do środkowego.

- Rebus, wiesz co?! Zapomniałem dokończyć pisać list do matki, może odpuścimy sobie dzisiaj grabieże i mordowanie, co?

- Przecież ty nie umiesz pi... Zamknij się!

Rzeczony Rebus, przywódca rabusiów też miał pełne porty. Jednak próbował wyjść z tego całego zdarzenia z twarzą. Dlatego gdy jąkała milczał, ten zakrzyknął, udając pewność siebie. Swoją drogą bardzo nieporadnie.

- Skoroś demon czy co, to nas nie interesujesz. Możesz przejechać, ale obyś nigdy więcej na nas nie natrafił, bo wtedy nawet do... do piekła ciebie odeślemy!

- Nnno! Ddoo piekła! Na sam dół!

Zawtórował mu jąkała, na co Bandyta, czując kupę śmiechu parsknął, mówiąc przy tym jeszcze bardziej tubalnym i donośnym głosem.

- Zeżrę jaja i poobgryzam kulasy!

Chwilę później rabusie zniknęli w gęstwinie. Nie krzyczeli, ale biegli tak szybko jakby ich sam opętany ogier gonił. Zamir siedział jeszcze chwilę w ciszy, aż w końcu rzekł do czarnego rumaka, znów bez emocji.

- Dalej, do miasta.

- To może już szefie trochę mi odpuścisz? Tak troszeczkę?! Przecież wiesz, jak bardzo żałuję! Szefie! Proszę!

- Właśnie wiem, jak bardzo żałujesz dlatego na razie nie będziemy gadać. Dalej! Do miasta!

Bandyta spuścił głowę w dół i przez całą resztę drogi nie odezwał się ani słowem, co z radością przyjął Zamir.

**

Było chwilę po południu gdy jeździec ze swoim wiernym rumakiem wjechali do miasteczka Bartnice, będącego spokojnym przystankiem dla przejezdnych handlarzy, zmierzających w kierunku stolicy. Same miasteczko utrzymywało się z pobliskiej kopalni soli oraz uprawy bardzo żyznych pól owsa i żyta.

Pod kopytami Bandyty droga zamieniła się w gładkie kamienie, wypolerowane wozami podróżnych i dość częstymi przemarszami wojsk z pobliskiego garnizonu, pilnującego wschodnich granic tego małego państewka. Przed pierwszym domostwem porucznik kozacki szepnął do ucha swego ogiera.

- Od teraz, gęba na kłódkę. Jesteś normalnym rumakiem. Rozumiesz?

- Tak sze...

Ogier nie dokończył, gdyż poczuł lekkie uderzenie w bok. Wiedział, że dzisiejszego dnia będzie poddany karze za swoje alkoholowe problemy, które kładły się na jego reputacji świetnego towarzysza bitew, cholernie długim i szerokim cieniem. Jednak co miał uczynić? Skoro od zawsze, odkąd pamiętał ciągnęło go do alkoholu? Najgorsze jednak dla Bandyty było to, że nie miał bladego pojęcia, co jego szef wymyślił za karę. Oczywiście miał jakieś tam przypuszczenia, ale Zamir posiadał bardzo bogatą wyobraźnię, co czyniło z jego domysłów jedynie smętne i nic nie znaczące słowa w głowie.

Parę uderzeń kopyt później, na ciele czarnego rumaka pojawił się pot. Bo oto przed jego dużymi i czarnymi oczami, kilkanaście metrów dalej ukazał się sztyl rzeźnika. W jego końskim łbie pojawiła się wizja kiełbas jakie czasem żrą bracia w taborze, kiełbas zrobionych z koniny. Parsknął niespokojnie, lecz jego jeździec nie zareagował. Chwilę później byli już za rzemieślnikiem. Końskie serce powoli wróciło do

normalnych uderzeń. Jeden zakręt w lewo i znów dłuższa jazda. Kilkanaście minut później wyjechali z miasteczka w stronę jednej z pobliskich farm.

Wiatr delikatnie płynął po zielonej trawie przed domem właściciela majątku. Zamir poprawił szablę i zapukał w drewniane drzwi. Bandyta niespokojnie podreptał w miejscu, skubiąc to i tamto z ziemi. Chwilę później słychać było kilka kroków ze środka, odgłos skrzypiącej podłogi i drzwi otworzyły się powoli i łagodnie. Przed porucznikiem stał wysoki i barczysty jednak cholernie brzydki brodaty mężczyzna.

- Zamir! Właśnie się zastanawiałem, kiedy przyjedziesz po jakieś warzywa czy mięso! I tutaj proszę! Jesteś jak na zawołanie!

- Witaj Borunie! No właśnie, wyobraź sobie, że ja nie w tej sprawie!

- Nie?

Zdziwił się poważnie rolnik, marszcząc grube i czarne brwi na parchatej twarzy.

- No właśnie nie. Potrzebuję abyś mi zdyscyplinował konia.

- Słucham?

Brązowe oczy Boruna zrobiły się wielkie. Mało brakowało, a rozdziawił by też szeroko usta z wrażenia. Zapytał więc szybko.

- Ale jak? Nie będę pytał się czemu. Jednak muszę się zapytać, jaki masz plan. Bo ja nie mam i nigdy czegoś takiego nie robiłem. Znaczy wiesz! Konia jednego mam i kuca, ale nigdy, na bogów, ich nie dyscyplinowałem!

- Mam pewien pomysł. Czy masz może jakiś kawałek pola do zaorania?

Bandyta skamieniał na dźwięk słowa „zaoranie”. Jego myśli wręcz krzyczały! „Ja! Wielki i czarny jak noc, ogier bojowy porucznika kozackiego! Poskramiacz klaczy! Pierwszy rozplodnik! Ten który nie boi się wjeżdżać samotnie w sam środek bitwy! Nieustraszony! Niedościągniony! Chędożony król pośród koni! Będę orał pole?”

- No mam, ale tam w cholerę jest starych pniaków z korzeniami, kamieni i innego tałatajstwa!

- To dobrze! Bardzo dobrze! A masz może jakiego parobka, co byś sam nie musiał pług pchać?

- Ktoś się znajdzie! Ale Zamir! Jesteś tego pewien! Ten kawałek ziemi od lat, a być może nawet nigdy nie był orany!

Borun spojrział znad barku kozaka na czarnego konia i dodał jeszcze.

- Ja wiem, że to wielkie bydle, ale czy da radę!?

- Da! Wierzę w niego. Zresztą dawno nie brał udziału w żadnej większej bitwie i przyda mu się trening.

- Wiesz co Zamir? Czasem mam wrażenie, że mówisz o tym koniu jak o człowieku.

Grymas nieukrytego zdziwienia ukazał się na twarzy chłopca, na co czarnowłosy kozak odpowiedział spokojnie, klepiąc właściciela farmy w lewy bark.

- Bo wiesz jak to jest. Jak bogowie zechcą, będzie on ostatnią przyjazną gębą jaką zobaczę w czasie bitwy. Dlatego traktuje go tak jakby umiał gadać i myśleć! Dlatego czasem traktuje go jak człowieka.

Na ostatnie zdanie Bandyty parsknął głośno, wypuszczając z paszczy strugę śliny. Zamir puścił to mimo uszu. Kilkadziesiąt uderzeń ludzkiego serca później parobek Boruna pchał pług przywiązany do Bandyty. Ten parskał i prychał. Kozak wiedział, że gdyby jego ogier mógł teraz mówić to by przeklinał tak, jak żaden mężczyzna! Nawet marynarz! Jednak jedno trzeba było oddać Bandycie. Co by nie mówić, był posłuszny poleceniom swojego pana.

- Powiedz mi Borun, da się wyżyć z rolnictwa?

W końcu zagadnął Zamir, gdy usiedli na ganku, jakieś kilkadziesiąt metrów od orającego pole konia i popijali swojskie wino. Pogoda była słoneczna, może nie upalna ale na pewno dla ludzi i koni pracujących w polu, bardzo nieprzyjemna.

- To nie tak czy się da czy się nie da. Bo wyżyć z tego co zasieję, co zbiorę i co ubiję to da się zawsze. Ja bym Zamir powiedział Ci tak, że nie będę bogaty. Nie mam tyle złota ile bym chciał mieć. Ręce mam obolałe. Kolana w rozsypce. Węch nie ten.

- Ale ten węch to chyba od twojego sławnego bimbru?

- Nie przerywaj, przyjacielu.

Odpowiedział ze śmiechem chłop, znów upijając solidny łyk z drewnianego kubka i kontynuował.

- Rolnictwo bogactwa nie przynosi. Prędszej garb i bolące plecy.

- Więc po co to robisz? Sprzedaj wszystko i jedź w świat! Z tego co wiem, sam tutaj mieszkasz i nawet rodziny nie masz.

- Ojcowizna. Tego sprzedać nie mogę i nawet nie chcę.

- A kto potem? Syna przecież nawet nie masz.

- Jaką dziewczkę szybko można zbrzuchacić, to nie problem. Problem powstaje wtedy gdy będzie ich więcej niż jeden.

- Jak to?

Zapytał zaniepokojony porucznik kozacki, jednak Borun nie zdążył odpowiedzieć, gdyż z drugiej strony pola, od strony lasu, szło trzech mężczyzn. Kozak przymrużył oczy i szepnął pod nosem

- Nie może być.

Chłop za pewne tego nie słyszał bo tylko wstał, sięgnął po łopatę która stała obok i stwierdził.

- Widzisz przyjacielu, i do tego wszystkiego trzeba dodać rabusiów. Ale tych chyba znam. Taaak. Tych na pewno znam.

Kozak milczał, nawet z krzesła nie wstał, gdy od pola zbliżali się w ich kierunku wcześniej przez niego poznany Rebus oraz jego dwaj niedorozwinięci koledzy, a może i rozwinięci? Trudno orzec. W każdy razie Bandyty nie poznali, bo bez siodła, bez kozaka na jego grzbiecie i do tego jeszcze harującego w polu.

W końcu trzech mężczyzn stanęli naprzeciwko dumnie wyprostowanego rolnika z łopatą, który od razu powiedział.

- Nie mam niczego co moglibyście zagrabieć. No chyba, że chcecie cielę lub dwanaście worków żyta.

- Nie kłam Borun! Tydzień temu też niby nic nie miałeś i do tego o tym cielaku nie wspominałeś.

- Bo się urodził trzy dni temu.

- Czyli znów nie masz złota?

- Nie.

- A kto tam z tyłu za tobą sie...

Szef rabusiów spojrzał za plecy rolnika, na ganek, gdzie w cieniu siedział owy demon z piekła. Na widok czerwonej koszuli i wilczego spojrzenia kozaka jego zdanie ucięte zostało niczym głowa człowieka przez gilotynę. Zamilkł, a jego kompani, jakby właśnie przed chwilą także odzyskali wzrok zobaczyli coś ciekawego na własnych butach. Borun trochę zbity z tropu, zapytał lekko opuszczając łopatę.

- Wy się znacie?

Kozak poruszył swoimi czarnymi wąsami, nieznacznie, oszczędnie. Jego głos zmienił swoją tonację na zimną i bardzo ponurą. Jednak bardziej spostrzegawczy obserwator zauważyłby błysk rozbawienia w jego niebieskich oczach.

- Tak, mieliśmy nieprzyjemność spotkać się dzisiaj na traktach. Moje pytanie tylko brzmi, w jaki sposób tak szybko się tutaj znaleźliście. Co Rebus? Śpieszno Ci w zaświaty?

Przywódca bandy nadal nie był w stanie wydukać ani jednego słowa. Wszystko zlewało się w jedną przerażającą całość. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. Dostłownie chwilę później, zza pleców jego przydupasów padło zdanie.

- Zeżrę jaja i poobgryzam kulasy.

Właściciel pola praktycznie opuścił na ziemię łopatę. Nie do końca dochodziło do niego to, że właśnie czarny jak noc ogier, który skończył orać odezwał się chrapliwym głosem. Rebusowi pot wystąpił na czoło. Jeden z trojga, jękała zaczął uciekać w stronę z której przyszli. Zresztą nie minęło kilkanaście sekund gdy ten drugi postanowił uczynić to samo. Nastąpił chwilowy impasse w całym zdarzeniu. Wszyscy milczeli, tylko Bandyta powtórzył tubalny i grobowym głosem słowa.

- ... kulasy, poobgryzam.

Oczy Rebusa wypełniły się łzami z przerażenia i dezorientacji, a po chwili, całkowicie bezmyślnie, zaatakował chłopca szerokim cięciem w klatkę piersiową. Tylko diabelny refleks kozaka, który doskoczywszy do rolnika, pociągnął go do tyłu, uratował mu życie. Ostrze starego miecza przecięło powietrze nie trafiając w cel. Bandyta zarżał przerażająco i donośnie, a w tym samym momencie wstając z ziemi porucznik kozacki wyciągnął szablę i stając w pozie pojedynkowej, rzekł krótko.

- Czyli do piekła...

Rebus czuł się upokorzony. Czuł się słaby, a przez to był zdesperowany. Krzyknął i ciął tym razem w stronę twarzy przeciwnika. Kozak uchylił się delikatnie, omijając jego ostrze nad swoją głową. W tym samym momencie jego szablę świsnęła płasko w brzuch rabusia. Ten padł, brocząc krwią z rozciętego bebecha.

Kilka chwil później Borun podniósł się z ziemi, otrzepał ubranie i chwyciwszy drżącymi dłońmi kubek z winem, stwierdził.

- Tym razem było blisko! A powiedz mi teraz, co mam z nim zro... .

Na szczęście rannego cięcie było płytkie, więc mógł długo leżeć i się wykrwawiać, a takiego obrotu sprawy Zamir nie akceptował. Dlatego podniósł zdziwionego i rannego Rebusa do góry, wrzucił na grzbiet czarnego ogiera i powiedział do rolnika:

- Dzięki za wszystko! Wiszę Tobie złoto albo przysługę, a nim się nie przejmuj. Niedaleko pracuje znajoma alchemiczka.

Kilkanaście uderzeń serca później porucznik kozacki szedł z powrotem do miasteczka piechotą, a przy nim dreptał jego wierny ogier z rannym Rebusem na grzbiecie; A to dopiero początek przygód jego i IV taboru kozaków Wideńskich.

c.d.n.